Wolność czy równość: kryzys demokracji i polska partiokracja

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł stanowi pogłębioną analizę napięcia między dwiema fundamentalnymi wartościami współczesnego świata: wolnością i równością. Odwołując się do myśli Erika von Kuehnelt-Leddihna, autor podważa powszechne przekonanie o ich komplementarności, dowodząc, że dążenie do absolutnej równości nieuchronnie prowadzi do ograniczenia swobód obywatelskich. Tekst szczegółowo opisuje proces ewolucji systemów demokratycznych w stronę tyranii większości oraz specyficzne patologie polskiej sceny politycznej. Analizie poddano zjawisko partiokracji, mechanizmy klientelizmu oraz wpływ dziedzictwa sarmackiego i postkomunistycznego na obecną kulturę instytucjonalną. Czytelnik odnajdzie tu również porównanie anglosaskiej kultury procedury z kontynentalnym dążeniem do realizacji absolutnych idei, co pozwala lepiej zrozumieć źródła obecnego kryzysu demokracji liberalnej.

This article provides an in-depth analysis of the tension between two fundamental values of the contemporary world: freedom and equality. Drawing on the thought of Erik von Kuehnelt-Leddihn, the author challenges the widespread belief in their complementarity, arguing that the pursuit of absolute equality inevitably leads to the restriction of civil liberties. The text details the evolution of democratic systems toward the tyranny of the majority and the specific pathologies of the Polish political scene. The article examines the phenomenon of partiocracy, the mechanisms of clientelism, and the influence of the Sarmatian and post-communist heritage on the current institutional culture. The reader will also find a comparison of the Anglo-Saxon culture of procedure with the continental pursuit of absolute ideals, which allows for a better understanding of the sources of the current crisis of liberal democracy.

Artykuł ten analizuje napięcie między wolnością a równością w kontekście demokracji, odwołując się do myśli klasyków takich jak Kuehnelt-Leddihn, Tocqueville i Madison. Autor argumentuje, że współczesne rozumienie demokracji w Polsce, skupione na procedurach i egalitaryzmie, prowadzi do ograniczenia wolności jednostki i wzrostu klientelizmu. Krytykuje

polską partiokrację, w której ideologie są jedynie fasadą dla walki o wpływy i zasoby, a obietnice polityczne tracą wiarygodność. Analizuje historię Polski, wskazując na ciągłe oscylowanie między anarchiczną wolnością szlachecką a postsowieckim roszczeniowym podejściem, co utrudnia budowę stabilnej demokracji proceduralnej, takiej jak w krajach anglosaskich. Teza artykułu głosi, że demokracja bez silnych instytucji, kultury kompromisu i odpowiedzialności politycznej degeneruje się w system, w którym wolność staje się przywilejem, a równość iluzją.

SŁOWA KLUCZOWE

wolność | równość | partiokracja | kryzys demokracji | egalitaryzm | klientelizm | liberalizm | bios vs zoē | tyrania większości | instytucje | procedura | Sarmatyzm | kontrola społeczna | elity polityczne | odpowiedzialność

Wolność i równość: nieuchronny konflikt wartości

Kiedy Erik von Kuehnelt-Leddihn pisał swoją monumentalną krytykę demokracji, jego myśl była intelektualną prowokacją. Wolność i równość nie są sojusznikami, lecz zaciekłymi przeciwnikami. W polskim dyskursie publicznym te dwa pojęcia traktuje się niczym nierozerwalne małżeństwo, które występuje zawsze w pakiecie, jak „demokracja liberalna” czy „wolność i równość wobec prawa”. Tymczasem historia uczy czegoś dokładnie odwrotnego: im bardziej państwa próbują narzucać równość, tym brutalniej ograniczają wolność. Im zacieklej chronią wolność, tym wyraźniej ujawniają się naturalne nierówności.

Wolność nie jest bowiem sloganem z partyjnego sztandaru ani prawem do wrzucenia karty do głosowania do urny raz na cztery lata. To osobista przestrzeń, którą Arystoteles określał mianem „bios”, czyli życia w sensie jakościowym, w odróżnieniu od czysto biologicznego trwania, czyli „zoē”. Wolność to możliwość wyboru, popełnienia błędu, prawo do bycia innym, nawet jeśli irytuje to większość. Alexis de Tocqueville zauważał, że wymaga ona prywatnego Lebensraum, czyli przestrzeni życiowej, w której człowiek może być sobą, bez ingerencji państwa i presji otoczenia. To wolność sumienia, własności, opinii i ekspresji.

Równość natomiast to idea, która z pozoru brzmi szlachetnie. „Wszyscy jesteśmy równi” – to zdanie od wieków powtarzają politycy, licząc na aplauz. Filozoficznie jest to jednak fałsz. Natura nie zna równości; ludzie różnią się talentami, możliwościami i charakterem. Aby „wyprodukować” równość, państwo musi

sięgnąć po narzędzia inżynierii społecznej: podatki progresywne, kwoty, parytety czy rewolucje edukacyjne. Każdy z tych środków opiera się na przymusie, a przymus jest zaprzeczeniem wolności. „Aby zrównać ludzi, trzeba wysadzać góry i zasypywać doliny” – pisał Kuehnelt-Leddihn. Równość nie jest więc faktem, lecz operacją wyrównawczą, w której jednostka traci swój indywidualny kształt.

W ten sposób dochodzimy do kluczowej tezy: totalitaryzm rodzi się z demokratycznego egalitaryzmu. Już Platon w „Państwie” opisał ten mechanizm, w którym masy buntują się przeciw elitom, wybierają „ochroniarza ludu”, a ten szybko staje się tyranem. Tocqueville dodawał, że masowe pragnienie równości prowadzi do „gigantycznej, opiekuńczej tyranii” – państwa, które „łagodnie” kontroluje obywatela od kołyski aż po grób. Historia XX wieku potwierdziła te intuicje. Nazizm i komunizm lubiły nazywać się demokratycznymi, a ich praktyką była uniformizacja i eksterminacja. Hitler mówił wprost: „Jestem największym demokratą w historii Niemiec”. To nie ironia, lecz przerażająca konsekwencja.

Nowoczesna demokracja myli wolność z procedurą, a wybory z rządami wolnych ludzi. Czy jednak fakt, że 51% obywateli przegłosuje zakaz wolności słowa, czyni taki system liberalnym? „Rządy większości nie mają żadnej wartości filozoficznej” – zauważał Kuehnelt-Leddihn. Wolność jednostki może istnieć pod rządami monarchy, który nie jest wybrany, ale szanuje jej prawa. Może też nie istnieć w demokracji, która w imię równości każe wszystkim maszerować w tym samym rytmie.

Wracając do polskiego kontekstu, demokracja po 1989 roku zrodziła nie liberalizm, lecz partiokrację. Nie mamy wolności, bo obywatel jest stale uzależniony od państwa, jego transferów i kaprysów partii rządzącej. Nie mamy

Madison: tyrania większości niszczy prawa mniejszości

James Madison w „Federalist Papers” pisał z chirurgiczną trzeźwością. Jego diagnoza była bezlitosna: „czysta demokracja była zawsze spektaklem burzliwości i sporów, zawsze niezgodna z bezpieczeństwem osobistym i prawami własności”. Dlatego właśnie postulował system „rozproszenia i kontroli”, który miał być kagańcem nałożonym na tyranię większości. Nie ufał ani arystokratom, ani rozemocjonowanemu tłumowi. Ufał jedynie instytucjom – maszynerii zmuszającej sprzeczne interesy do ścierania się na ograniczonym, konstytucyjnie wyznaczonym polu. To był chłodny realizm republikański, postawiony w opozycji do sentymentalnego romantyzmu równości.

Tocqueville: łagodny despotyzm usypia obywateli

Alexis de Tocqueville widział przyszłość ostrzej niż większość współczesnych mu polityków. Pisał, że demokracje nie upadną przez rewolucję, lecz przez kuratelę państwa, które „pochyla się nad każdym, by oszczędzić mu trudów myślenia i życia". Wolność nie ginie od bagnetu, lecz od formularza. Tocqueville'owska wizja „łagodnego despotyzmu" to dziś punkt odniesienia dla wszystkich, którzy w państwie opiekuńczym widzą miękką formę kontroli. Demokracja miała być wspólnotą dorosłych, nie gospodarstwem opiekuńczym.

Schumpeter: demokracja jako rynek polityczny

Joseph Schumpeter zdarł z demokracji jej sentymentalny płaszcz, proponując brutalnie realistyczną definicję: to metoda selekcji elit rządzących poprzez konkurencję o głosy. Demokracja nie jest więc rządami ludu, tylko sposobem, w jaki lud wybiera, kto będzie nim rządził. To bolesna demistyfikacja, ale i obrona. Zamiast bowiem oczekiwać od demokracji anielstwa, lepiej przyjąć, że to system wyboru menedżerów władzy. Liberalizm ma pilnować, by menedżerowie nie mieli narzędzi do łamania wolności, a demokracja ma ich rotować.

Bezpieczniki ustrojowe: bariery dla samowoli władzy

Demokracja nie jest neutralną technologią polityczną, którą można zainstalować w dowolnym miejscu jak system operacyjny. To nie komputer, który wszędzie działa tak samo, jeśli tylko podłączyć go do prądu. Demokracja jest raczej organizmem, który karmi się lokalną kulturą, obyczajem, religią i instytucjami. Dlatego w jednym miejscu potrafi rodzić pluralizm i sztukę kompromisu, a w innym degeneruje się w plebiscytarne histerie i lepki klientelizm. Erik von Kuehnelt-Leddihn ująłby to celnie: „To nie system zawodzi, lecz mentalność, która go wypełnia". I miałby absolutną rację.

Anglosasi, najpierw Anglicy, a po nich Amerykanie, budowali swoją demokrację na fundamencie pragmatyzmu i instytucji precedensu. Ich „common law", czyli prawo zwyczajowe, nie znało absolutów, lecz rozstrzygało sprawy indywidualnie, case by case. Nie chodziło o to, kto ma rację w sporze o metafizykę, lecz o to, jak rozwiązać konkretny problem, by nie zawalić całego gmachu państwa. Dzięki takiemu podejściu kompromis stał się cnotą, a nie aktem zdrady. Parlament angielski był miejscem sporu, ale sporu ujętego w karby procedury, w którym nawet monarcha musiał negocjować. Kultura polityczna Anglosasów uczyła cierpliwości; nie oczekiwano rewolucji, lecz powolnego rozszerzania praw. Słynny „Bill of Rights" z 1689 roku nie był apokalipsą, tylko ewolucją.

Z tej tradycji wyrósł model amerykański, który ją udoskonalił. System federalny, mechanizm checks and balances zapewniający równowagę władz, Sąd Najwyższy i konstytucja jako świętość – wszystko to miało chronić wolność, pierwotny kod kulturowy Ameryki. Słynne „Don't tread on me" to nie tylko hasło, to esencja tej filozofii: nie depczcie mojego życia. Równość rozumiano proceduralnie, jako równość szans, a nie materialnie, jako równość wyników. Gdy pojawiały się fundamentalne napięcia, jak niewolnictwo czy segregacja, walka o równość odbywała się przez sądy i poprawki do konstytucji, a nie przez gilotynę.

Na kontynencie europejskim dominowało zupełnie inne dziedzictwo: absolutyzm, uniwersalistyczny katolicyzm i tradycja wielkich, wszechogarniających systemów filozoficznych. Francuzi mieli Rousseau, który marzył o „woli powszechnej" jako absolutnym i nieomylnym źródle prawa. Niemcy mieli Hegla, który w państwie widział „wcielenie ducha dziejów". Włosi nosili w sobie resztki papieskiego uniwersalizmu. A Polacy? Polacy mieli sarmacką wolność, która była przywilejem stanu, a nie prawem uniwersalnym, i która z łatwością przeradzała się w anarchię. Tutaj kompromis uchodził za słabość, a wierność absolutnej idei za dowód siły. Zamiast ewolucji trwa wieczna rewolucja. Zamiast precedensu jest dogmat. Zamiast procedury – skrzecząca wielka idea.

Max Weber pisał o „etyce protestanckiej" i jej związku z duchem kapitalizmu, ale jego teza doskonale pasuje także do polityki. Protestantyzm, kładąc nacisk na indywidualną odpowiedzialność, samodyscyplinę i pracę w ramach ustalonych reguł, stworzył podglebie pod demokrację proceduralną. Katolicyzm z kolei akcentował wspólnotę, hierarchię i jedną, metafizyczną prawdę, co sprawiało, że demokracja w tych kulturach stawała się polem walki o absolut moralny. Dlatego anglosaski parlamentarzysta uczył się mówić: „zgadzamy się, by się nie zgadzać", podczas gdy kontynentalny trybun ludowy wolał grzmieć z mównicy: „To zdrada ideałów!". W Polsce to echo wciąż jest absurdalnie głośne; kompromis pozostaje podejrzany, a „dogmatyczną wierność" ceni się wyżej niż pragmatyczną ugodę.

Polska cierpi przy tym na własną, specyficzną schizofrenię kulturową. Z jednej strony mamy dziedzictwo szlacheckiej wolności – anarchicznej, indywidualistycznej i często nieodpowiedzialnej, ale głęboko zakorzenionej w mentalności. Z drugiej strony ciąży nad nami spadek po komunizmie, który przez pół wieku uczył uniformizacji, klientelizmu i organicznej nieufności do państwa jako obcej siły. Rezultat? Polska demokracja to nie wspólnota dorosłych obywateli, lecz hybryda sarmackiego „liberum veto" (rozumianego jako „nikt mi nie będzie mówił, co mam robić") i postsowieckiej postawy roszczeniowej („dajcie mi, bo się należy"). Partie polityczne nauczyły się tę dwoistość perfekcyjnie wykorzystywać. Jednych kupują programami socjalnymi, innych mobilizują hasłami o obronie wolności przed Unią, gender czy podatkami. I tak wolność i równość zamieniają się w puste dekoracje.

Dlaczego więc Anglosasi potrafili zachować stabilność, a my wciąż popadamy w skrajności? Bo ich demokracja wyrastała z kultury procedury, a nasza wypełzła z kultury absolutnej idei. Oni ufali instytucjom i precedensom, my zawierzyliśmy namiętnościom i metafizyce. Oni budowali demokrację jako narzędzie do

rozwiązywania problemów, my traktujemy ją jak religię, którą trzeba wyznawać albo zwalczać. Wyobraźmy sobie debatę w Izbie Gmin i w polskim Sejmie. W Londynie poseł wstaje i mówi: „Proponuję poprawkę proceduralną, by projekt wrócił do komisji". W Warszawie poseł wstaje i krzyczy: „W imię Boga i Ojczyzny, zdradzacie naród!". Oba głosy są równie donośne, ale tylko jeden prowadzi do stabilnej polityki. Kuehnelt-Leddihn powiedziałby, że demokracja jest jak wino: jedni piją dla smaku, inni dla upojenia. U Anglosasów upaja rozsądek, u nas w łeb wali absolut.

Kompromis vs. dogmatyzm: dwa modele kultury politycznej

W teorii demokracja przypomina wielką scenę idei, na której partie odgrywają różne wizje dobra wspólnego, a wyborca jest surowym reżyserem oceniającym, czyj spektakl bardziej go przekonuje. Tak to wygląda na papierze. W Polsce scena polityczna to jednak teatr farsy, gdzie aktorzy co prawda zmieniają dekoracje, ale wciąż grają tę samą sztukę o dostęp do zasobów. Ideologia jest w niej jedynie rekwizytem, a aksjologia kolorowym kostiumem, który zdejmuje się i zakłada w zależności od sezonu politycznego.

Odpowiedzialność za głoszone idee wymaga trzech rzeczy: ciągłości, kosztu i wstydu. Ciągłość oznacza, że polityk trwa przy swoim programie dłużej niż do końca kampanii wyborczej. Koszt to świadomość, że deklaracje pociągają za sobą realne konsekwencje prawne i polityczne. Wstyd zaś to mechanizm, w którym społeczeństwo pamięta słowa i bezlitośnie rozlicza ich złamanie. Polska polityka nie spełnia żadnego z tych warunków. Partie zmieniają programy jak rękawiczki, traktując je niczym katalog świątecznych obietnic, a nie poważny dokument. Koszty? Niemal żadne, bo odpowiedzialność rozmywa się w gąszczu klubów, koalicji i „zespołów komunikacji". Wstyd? Nie istnieje, bo pamięć publiczna jest krótsza niż cykl informacyjny, a lojalność partyjna cenniejsza niż konsekwencja.

Kim jest przeciętny polski polityk? Z socjologicznego punktu widzenia to raczej administrator klienteli niż nośnik idei. W wielu krajach Zachodu elity polityczne przechodzą przez gęste filtry uniwersytetów, think tanków czy służby publicznej. W Polsce ten filtr jest wyjątkowo płytki, a o awansie decydują głównie struktury partyjne i sieci lojalności. Nie masz patrona? Nie istniejesz. Masz patrona? Wchodzisz do gry, niezależnie od kompetencji. Dlatego polityka wygląda jak mozaika osób przypadkowych intelektualnie, lecz bezwzględnie lojalnych organizacyjnie. „Lojalność nad kompetencje" — oto niepisana zasada doboru kadr. Nic dziwnego, że idee traktowane są jak ozdoby, które trzeba znać, by wygrać debatę, ale nikt nie oczekuje, że będą wyznaczać długofalową politykę.

Walutą polskiej polityki nie jest ani doktryna liberalna, ani konserwatywna, ani socjalistyczna. Walutą jest klientelizm, czyli system wymiany przysług, w którym stanowiska kupuje się za lojalność, a kontrakty za

poparcie. Partie żyją z tego kupczenia. Nie jest to wyłącznie polska patologia, lecz w Polsce osiągnęła ona stan niemal jawnej normalności. Obywatel przestaje być uczestnikiem gry idei, a staje się petentem w biurze poselskim. Partie nie są laboratoriami programów, tylko agencjami dystrybucji stanowisk i pieniędzy. Równość obywateli w takim systemie oznacza co najwyżej równość w dostępie do kolejki, pod warunkiem że jest się „naszym".

Dlaczego politycy nie czują ciężaru słów? Po pierwsze, język polityki stał się rytuałem, a nie zobowiązaniem; ma mobilizować, a nie programować. Po drugie, instytucje nie wymuszają odpowiedzialności, bo nie istnieje żaden mechanizm „kosztu za kłamstwo". Po trzecie, wyborcy nauczyli się, że obietnice są jedynie dekoracją, a gdy wszyscy kłamią, kłamstwo przestaje być grzechem, stając się gatunkiem literackim. Po czwarte, media uczestniczą w tej samej grze, polując na cytaty, a nie na idee. Polityk konsekwentny nie generuje zainteresowania, za to ten, który zmienia zdanie, produkuje wiadomości.

Wracając do koncepcji Erika von Kuehnelt-Leddihna: demokracja bez liberal

Polska klasa polityczna: ucieczka od odpowiedzialności

W polskim teatrze politycznym ideologie są jedynie dekoracją, prawdziwą walutą pozostaje bowiem klientelizm. Partie żyją z bezwstydnej wymiany, gdzie kupczy się wszystkim: stanowiskami za lojalność, kontraktami za poparcie, grantami za wierność. Choć mechanizm ten nie jest wyłącznie polską patologią, to właśnie tutaj osiągnął stan niemal jawnej normalności. W takim układzie obywatel przestaje być uczestnikiem gry idei, a staje się petentem w biurze poselskim, gdyż partie dawno przestały być laboratoriami programów, a stały się agencjami dystrybucji stanowisk i pieniędzy. Deklarowana równość sprowadza się tu do równego prawa stania w kolejce po łaskę, pod warunkiem że jest to kolejka dla „naszych".

Klientelizm: korozja polskiej procedury demokratycznej

Historia polskiej demokracji to kronika nieustannych złudzeń. Złudzeń, że wolność szlachecka była wolnością obywatelską. Złudzeń, że Konstytucja marcowa zapewni równość w kraju, gdzie połowa społeczeństwa nie umiała czytać. Złudzeń, że PRL był państwem „ludu pracującego". I wreszcie złudzeń, że III RP podaruje nam liberalną demokrację, chociaż partie od samego początku traktowały ją jak spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością.

„Złota wolność" szlachecka była fascynującym eksperymentem politycznym. Sejm Walny, liberum veto, konfederacje – na papierze wszystko to wyglądało jak laboratorium nowoczesnej demokracji. Był to jednak

system głęboko ekskluzywny, w którym wolność stanowiła przywilej, nie prawo. Przysługiwała wyłącznie szlachcie, czyli garstce 8–10% populacji. Chłop pozostawał poddanym, mieszczanin był marginalizowany, a kobieta w świetle prawa praktycznie nie istniała. Równość? Owszem, ale wyłącznie w obrębie jednej kasty. Wolność? Tak, lecz często przeradzała się w anarchię, gdzie hasło „nic o nas bez nas" prowadziło do paraliżu państwa. Efektem był ustrój o genialnych instytucjach wolnościowych, pozbawiony jednak jakichkolwiek mechanizmów egzekwowania odpowiedzialności.

Po 1918 roku Polska, odzyskawszy niepodległość, zapragnęła stać się „nowoczesną demokracją". Konstytucja marcowa z 1921 roku wprowadziła szerokie prawa obywatelskie i rządy parlamentarne. Problem polegał na tym, że były to instytucje bez fundamentów, zawieszone nad przepaścią kulturową między zaborami, biedą i analfabetyzmem. Demokracja błyskawicznie stała się areną walki partyjnych klik, które były małe, plemienne, często oparte na regionalizmach lub wyznaniu. Politycy zmieniali sojusze jak rękawiczki, a „sejmokracja" stała się synonimem chaosu. Równość istniała w Konstytucji, lecz w praktyce kobieta czy chłop mieli wciąż ograniczony dostęp do władzy. Wolność krzyczała z gazet, ale codzienność na wsi niewiele różniła się od czasów carskich. W 1926 roku Piłsudski przejął władzę w imię sanacji, a demokracja parlamentarna przegrała z argumentem siły i stabilności.

„Demokracja ludowa" była w istocie monopartyjną dyktaturą, w której równość stała się maską, a wolność przestępstwem. Władza partii utożsamiała się z wolą ludu, a równość klasowa stanowiła oficjalną ideologię. W praktyce jednak wyrosła nowa kasta – nomenklatura. Równość sprowadzała się do tego, że wszyscy stali w tej samej kolejce po mięso, ale tylko członek partii miał talon na samochód. Wolność? Każdy, kto próbował mówić językiem innym niż partyjny, automatycznie stawał się wrogiem ludu. PRL wychował całe pokolenia w politycznej schizofrenii: oficjalnie wszyscy byli równi, nieoficjalnie każdy wiedział, że równiejsi są ci z legitymacją PZPR. Wolność funkcjonowała w podziemiu, w drugim obiegu, w kościołach. To doświadczenie naznaczyło polską kulturę polityczną, ucząc cynizmu wobec wielkich słów i przyzwyczajając do klientelizmu jako normy.

Po 1989 roku Polska zapragnęła zbudować liberalną demokrację w stylu zachodnim i na poziomie formalnym nawet się to udało. Mamy Konstytucję z 1997 roku, wolne wybory, pluralizm partyjny i samorząd. Problem w tym, że partie od początku traktowały państwo jak prywatny fol

Historyczne źródła nieufności: państwo jako wróg

Jak zatem uniknąć dryfu w stronę łagodnego totalitaryzmu? Kuehnelt-Leddihn proponował „trzecią drogę": nie naiwną restaurację monarchii, lecz chłodną syntezę liberalizmu konstytucyjnego i arbitra ponad partyjnym zgiełkiem. Jak przełożyć ten koncept na polskie realia?

Kuehnelt-Leddihn: trzecia droga przeciw masowości

Demokracja w Polsce po 2005 roku wygląda jak spektakl, w którym dekoracje zmieniają się co kadencję, lecz scenariusz pozostaje ten sam: populizm, polaryzacja i system transferów. Partie zachowują się jak korporacje medialne, które sprzedają swoim plemionom emocje, a państwo traktują jak wielki bankomat do rozdawania pieniędzy. Wolność i równość? Występują wyłącznie w kampanijnych sloganach. W praktyce rządzą lojalność, klientelizm i środki budżetowe.

Populizm jest dziś nie tyle stylem politycznym, ile ekonomiczną technologią władzy. Partie kupują lojalność obywateli transferami: 500+, 800+, dodatkami, tarczami czy rekompensatami. W imię „równości" wyrównuje się dochody, ale nie wyrównuje szans. Obywatel dostaje świadczenie, ale nie szkołę z dobrą edukacją ani sąd z szybką sprawiedliwością. To równość w portfelu na chwilę, a nie równość w godności. Wracamy tu do Kuehnelta-Leddihna: egalitaryzm wyników wymaga państwa opiekuńczego, które powoli tresuje obywatela do zależności. Wolność w takim systemie maleje, bo każda decyzja jest uzależniona od tego, czy nie straci się świadczenia. Państwo staje się sponsorem, a obywatel petentem. Paradoksalnie, „państwo troskliwe" zamienia się w „państwo dyscyplinujące".

Drugi filar współczesnej demokracji polskiej to polaryzacja. Partie nie rywalizują programami, lecz tożsamościami. Głosujesz nie dlatego, że zgadzasz się z programem, ale dlatego, że nie chcesz, by rządziła „tamta strona". Wolność zostaje utożsamiona z prawem do bycia w swoim plemieniu, a nie z realną możliwością wyboru. W ten sposób debata publiczna staje się rytuałem wojennym, gdzie każde słowo przeciwnika to zdrada, a każdy kompromis – kolaboracja. Polaryzacja daje partiom wygodę: nie muszą tłumaczyć programów, wystarczy wskazać wroga. A wyborcy? Są szczęśliwi, bo dostają prostą opowieść: „my to dobro, oni to zło". To już nie jest demokracja deliberatywna. To plebiscytowa religia, w której partie są kościołami, a ich liderzy prorokami.

Kolejnym mechanizmem jest centralizacja, w ramach której partie traktują państwo jak łup. Obsadzają instytucje swoimi ludźmi, zmieniają prawo, by kontrolować sądy, media publiczne i spółki Skarbu Państwa. Wolność instytucji znika, bo każda z nich jest wciągana w orbitę partyjną. Równość dostępu do państwa również, gdyż decyzje administracyjne stają się elementem klientelizmu, czyli praktyki faworyzowania własnych zwolenników. Tak wygląda partiokracja w praktyce. Nie chodzi o to, kto ma lepszy pomysł na państwo, lecz kto kontroluje większą część jego aparatu. Państwo przestaje być arbitrem między obywatelami, a staje się narzędziem partii wobec nich.

Najbardziej charakterystyczne jest jednak to, że współczesna demokracja polska nie ma sporu idei. Partie używają ideologii wyłącznie jako dekoracji, bo realną walutą są transfery. Dlatego hasła liberalne czy konserwatywne brzmią tak pusto. Liberalizm sprowadzono do retoryki „obniżymy podatki" (choć i tak przybywa regulacji), a konserwatyzm do haseł „w obronie tradycji" (choć realnie chodzi o obsadzanie

instytucji swoimi ludźmi). Kiedy spojrzymy na exposé kolejnych rządów, widzimy, że wszystkie są do siebie podobne: rozdawnictwo, obietnice bezpieczeństwa, retoryka „narodowa” lub „europejska” i atak na przeciwnika. Wolność jednostki i

> Czy w pogoni za iluzoryczną równością nie straciliśmy z oczu fundamentów wolności? Czy demokracja, zamiast być narzędziem w rękach obywateli, nie stała się teatrem marionetek, gdzie sznurki pociągają partie? A może to my, Polacy, wciąż nie nauczyliśmy się pić wina demokracji z umiarem, upijając się absolutami i namiętnościami?

Inspiracje

[1] **"Liberty or Equality"** Erik Ritter von Kuehnelt – Leddihn

1952 | Ludwig Von Mises Institute

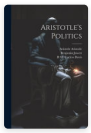
Austriacki szlachcic i polihistor (1909-1999). Był filozofem politycznym, historykiem, ekonomistą i językoznawcą. Kuehnelt-Leddihn krytykował demokrację i totalitaryzm, opowiadając się za monarchią i wolnością jednostki. Przez 35 lat pisał dla „National Review” i wykładał na uniwersytetach Georgetown i Fordham.

Austrian nobleman and polymath (1909-1999). He was a political philosopher, historian, economist, and linguist. Kuehnelt-Leddihn critiqued democracy and totalitarianism, advocating for monarchy and individual liberty. He wrote for National Review for 35 years and taught at Georgetown and Fordham.

Literatura uzupełniająca

Książki

Literatura pokrewna (Google Scholar):



[1] **"Politics"**

Aristotle

2023 | Legare Street Press | ISBN: 9781019400883

Google Scholar



[2] "Hitler's Second Book: The Unpublished Sequel to Mein Kampf"

Adolf Hitler

2023 | St. Martin's Press | ISBN: 9781915645555

Google Scholar



[3] "The Protestant Ethic and the Spirit of Capitalism"

Max Weber

2025 | Lebooks Editora | ISBN: 9786558948834

[4] "Discourse on the Origin and Basis of Inequality Among Men"

Jean-jacques Rousseau

2021 | Various publishers; originally published in French | ISBN: 9798713080440

Google Scholar



[5] "Economy and Society: An Outline of Interpretive Sociology"

Max Weber

1968 | New York, Bedminster P

Artykuły naukowe

Autorzy przywoływani:

[1] "Clientelism"

Allen Hicken

2011 | Annual Review of Political Science

Google Scholar

[2] "Clientelism and the Erosion of Legislative Oversight: Examining the House of Representative (Dewan Perwakilan Rakyat, DPR) Role Under President Joko Widodo (2014–2024)"

Muhammad Tri Andika Kurniawan, Suseela Chandra Devi

2025 | JWP (Jurnal Wacana Politik)

Google Scholar

[3] "The Crisis of the Tax State"

Joseph Schumpeter

1918

[4] "Economic Theory and Entrepreneurial History"

Joseph Schumpeter

1949

[5] **"Politics as a Vocation"**

Max Weber

1919

[6] **"Science as a Vocation"**

Max Weber

1919

[7] **"Max Weber and the Making of Politicians: A Sociology of Political Responsibility"**

Patrice Duran

2010 | Max Weber Studies

APA ONE Publishing System

Fundacja Dobre Państwo © 2026

Article ID: 353df420-865b-4ec6-a8a9-e184aa81d83f